

JÓZEF LASOŃ.

## ŚMIERĆ ARTYSTY.

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

...Rozszalałe, krwi chciwe, mordu, pożogi, zniszczenia — żywioły sprzęgły kolczastymi ogniwami świat... tysiące armat z paszcz swych rozszarpujące rzuca pociski, miliony karabinów pluje bezustannie stalowymi kulami, rozszarpane w powietrze lecą strzepy ciał ludzkich, zwierząt... toż wojna... I cóż jest życie ludzkie?... nie!...

Rozkwitłe malwy mienia się w słonecznym blasku, dojrzałego lata kwiat, gdy gałązki drzew owocowych uginają się pod ciężarem z kwiatu powstałych owoców.

Żółty słonecznik skromnie opuszcza koronę swą ku ziemi, jak człek jesienną życia przebywszy erę, w zimowy wchodzi letarg, głowę zwiesiwszy ku ziemi.

Dłoniasty liść winogrodu w altanę wkręcił się, bluszcz skromny wyprzeć chce, gdyż owoc da... bluszcz nie...

Wiosenne dawno obumarły kwiaty, łądygi-liście sterczą na grządkach, rzadko się zjawi biały narcyz, w sztucznej hodowany cieplarni, skromny fiołek liść bezwonny jeno ma.

Lato... lato... niedługo jesień-macocha zawita, zabierze twój plon i owoc i kwiat, straci z drzew liście, obedrze krzaki z zieleni, pomrozi kwiatów łądygi i odda staruszcze-zimie na sen... na dobry wypoczynek-sen... by z wiosną wstać!

Lato... lato...

Przez ażurowe, białe firanki promienie słońca przedzierają się, tworząc mozaikę na wyszklonej posadzce salonu. Wietrzyk powiewny przez rozwarte okna wpada, figlarnie kołysze ażurową zasłoną, łamią się drobne promyki słoneczne, mieni się mozaika na szklanej powłoce posadzki.

Stare portrety przodków na ścianach pokoju rozwieszane, żywymi zda się oczami patrzą, w cieniach pokoju ukryte.

Mały salonik... niebieską makatą wybity, niezapominajki kolorem przetkany, żywo odbija się od czarnych mahoniowych sprzętów.

Na rozwartym fortepianie nuty w nieładzie rozrzucone, pomiędzy nimi na pół zwiędłe kwiaty. Ciemno pasowe róże w dzbanach wschodnich wetknięte, na marmurowym stole stoją, gdzieśgdzie pomiędzy nimi biała, alabastrowej barwy róża żywo się od nich wyróżnia.

Stary zegar monotonnym ruchem wahadła oznajmia przebyte, przeżyte sekundy życia, czasu, który nigdy nie wraca...

Pluszowe kanapki, zaszklona szafa z książkami, stoliczek toaletowy, kilkanaście drobiazgów na biurko rozrzuconych dopełniają umeblowania pokoju...

Ostrożnie wniesiono go do niebieskiego saloniku, na puszystych złożono poduszkach, zasłaniając starannie okno roletami.

Wampir wojny, nienasycony w chciwości, trudami wojny i znojami ostatki sił wysysa, jeśli krwi z rozszarpanych żywych członków nie pije... Pod marsowe swe skrzydło objął wszystko, i młode i stare, artystów, poetów, wielkich i małych ludzi, oderwał od codziennych zajęć, nadobną Muzę zapędził w kąt, amorowe figle swawoli i rozpusty rozszerzył na świecie... Wszystko złe, co zatracza świat i ród ludzki...

Zadumana Muza, opuszczona od wielbicieli, rozpaczliwie oczyma patrzy na rozszalałego Marsa, Wenera postów z podzięką śle, Bacchus na uczy zaprasza... Ludzie w stadą zwierząt, krwi chciwych zmieniają, chytremi, krwią nabiegłymi oczyma zdala na siebie spoglądając, ślą pociski stalowe bez przerwy.

Niknie ci przed tem wszystkim piekło dantejskie, żywe męki Tantalą widzisz i cóż? Chyba nie będziesz błogosławił!...

Trudem i znojem wojny zemdlącego artystę przewieziono z placu boju na życzenie rodziny. Umieszczono go w pokoju własnym, w którym jako muzyk młodość swą przeżywał i pierwsze kroki do kariery i sławy muzyka przygotowywał.

Pomimo starań lekarzy chory nie przychodził do przytomności, gorączka nie przestawała trawić osłabionego ciała.

Zapadał wieczór.

Krwistymi plamami zaczerwieniło się niebo od powoli znikającego za górami słońca, coraz słabiej zlewającego koloryt swój z lazurowym, pogodnym horyzontem.

Padły czerwone odbłaski słońca do pokoju chorego Ryszarda, delikatnie objęły twarz, która w tym blasku jeszcze więcej nabrała żółtej, grobowej barwy.

Zaciśnięte zęby, pokurczone rysy wskazywały na mękę chorego. Pot kroplami występował na wyniosłem czole, jak gdyby świeże krople rosy na ruń zieloną, lub barwną koronę kwiatu upadły. Pierś podnosiła się gwałtownie do góry, opadając, przez gardło wydawała syk jakiś dziwny, jakby ostatnie rżenie konającego. Czasami twarz rozjaśniała się, usta krzywiły się delikatnym uśmiechem, grymasem, pomieszaniem z bólem i cierpieniem.

Spieczona usta szeptały jakieś niezrozumiałe wyrazy, pieszczotliwie imię jakieś wywoływały. To znów rysy twarzy zmieniały się, kurczyły, przerażenie malowało się na twarzy.

...Fala ludzka płynie najeżona ostrzami bagnatów, twarze nabrały srogości, zaciętości, z ochrypłych gardel wyrывa się przeciągłe „hurra“. Potknie się jeden i drugi, ostatni okrzyk wyda, na ciało drgające nadeprze but towarzysza, skrwawi wykrzywioną bólem twarz, kopyta końskie potracą w pierś upadłego. Rozszalałe pociski padają, wyrывая prących naprzód żołnierzy, krew chlupnie w twarz, zaczerwieni siwy mundur. Tu jakiś o potężnych barach żołnierz, kolbą uderzywszy przeciwnika w czaszkę, głowę rozbił, mózg bryzgnął, oblepił mu twarz... Siwiejącego już żołnierza rosyjskiego stalowe ostrze bagnetu przeszło, żołnierz, który ten bagnet wbił, szarpnął zaciekle karabinem, rozpruwając mu wnętrzności. Piekielny hałas, na pół zwierzęce okrzyki mieszają się z jękiem rannych.

Dochodzą do okopów.

Tuż obok niego padł przyjaciel, kula przeszła serce. Umierając jęknął:

— Ryszard, list oddaj... zo... nie...

Przypadł do stygnącego trupa, wydarł z kieszeni pożyłką szarą kopertę, fala ludzka popchnęła go naprzód. Chciał schylić się nad przyjacielem, ucałować stygnące lica, popchnięty, upadł na jakieś ciało, twarzą przywalony do nich. Ręce zanurzyły się w jakieś lepkiej kałuży, dotkliwy ból poczuł na ciele. Brutalne obcasy pędzącej fali żołnierskiej tratowały, głowa, uderzana co chwilę podkową buta, pękała od bólu. Usiłował wydobyć ręce z kałuży lepkiej, oślizgłej, przywarły silnie, głos w piersiach mu zamarł, zerwać się chciał, czując, że coraz głębiej kałuża ta pochłania go, coraz bardziej z leżącymi pod nim ciałami zapada się.

Ostatnim wysiłkiem naprężył piersi, z gardła wydobył się nieludzki krzyk.

W tejże chwili przebudził się.

Podniósł powoli głowę, spojrzał po pokoju, oglądając się... Jakiś dziwny, cichy pokój, znany mu tak... tak znany, a jednak nie może przypomnieć. Na stole pełno kwiatów, fortepian ustrojony różnokolorowymi kwiatami.

— Gdzie jestem? — wyszeptał po chwili.

Mózg pracował usilnie. Jak przez mgłę stawały mu rzesze żołnierskich postaci, sen, który go poprzednio zmorzył, kwiaty, kapane promieniami zachodzącego słońca, barwnymi kolorami mieniły się.

Pot kroplisty wystąpił na czoło Ryszarda.

Wzrokiem natężonym wpatrywał się w kwiaty, w portrety przodków wiszące na ścianie, w sprzęty zdobiące pokój.

Stary zegar zawarczał...

Za sekund parę wydzwoni znów godzinę ubiegłą, życie świata i ludziom skróci...

Zawarczał sprężynami, jak stary człek, żywot swój kończący. Ryszard drgnął.

Charczenie podobne słyszał nieraz, gdy towarzysz broni padł... gdy ostatni wydał jęk. Sprężyny poruszonego zegaru wspomnienie ostatnich dni wtłoczyły do mózgu chorego.

Wreszcie wydzwonił godzinę... po każdym uderzeniu przestając chwilę, jakgdyby chciał się zatrzymać przy uderzeniu, skrócić minione chwile.

Ryszard spojrzał w okno.

Lekki zefirek igrał muślinowymi firankami u goetyckich okien zawieszonymi, świeże powietrze z ogrodów napływało, odświeżając pokój.

Z lubością wciągał powietrze, rozkoszując się zapachem rozkwitłych kwiatów z pola napływającym, jak również z zerwanych, rozrzuconych po salonie. Zamigotał mu przed oczyma czarno wyszklony fortepian, zobaczył ułożone na pulpicie nuty.

Twarz mu się rozjaśniła... Poznał swój pokój... fortepian stary, na którym pierwszych uderzeń na klawiszach próbował.

Chopenowska melodia zadrgała mu w duszy, poruszył się gwałtownie na łóżku, wychudłymi dłońmi uchwycił za brzegi metalowe, podźwignął się ciężko...

W piersiach rozprężyły się bolesne kłucia, usiłował powstać, podejść do fortepianu, uderzyć w akordy... pieśń grającą w duszy wysławić...

Szarpnął się powtórnie, jęknął cicho i jak podcięty kłos pszeniczny powalił się na łóżko.

Ociężałe przywarły się powieki, pierś nierówno podnosić się poczęła.

Słońce powoli kryło się za widnokrzem... gasły ostatnie, krwawo zabarwione promyki — szarzyzna poczęła ogarniać pokój...

Wśród barwnych kwiatów, oszołomiony zapachem, przechodzi — kolorami swymi w podziw go wprawiają.

Białe, bezwonne narcyzy płatki zawracają w stronę jego i przyjaźnie chylą korony swe na wysmukłych, zielonych łądygach.

Lilia mieni się w słońcu, zefirek swawolny usiłuje ją nagiąć, sterczy śmiało, mimo, że łądyga chwieje się, nie zniża się korona kwiatu.

Fiołek skromny pod listek się skrył — zapachem nęci — kwiatuszek swój starannie skrył, tarczą-liściem okrył...

Modra niezabudka nad srebrnym potokiem tęsknie spoziera, jak czyste oko stęsknionej, kochanej dziewczicy do srebrzystego potoku, schyla się, przeglądając piękność swą... zasłoniętą szorstkim liściem łopuchu...

Na wyniosłych łądygach malwy strojne, bezwonne, kolorem wabią, jak złudne szczęście człowieka, zerwiesz krótko przypięty do łądygi kwiat — odrzucisz!...

Na kolczastych krzakach pączki rozkwitłych róż, kolorem i zapachem dumne, wiatr krzakami na wszystkie strony powiewa, ślaniają się, wabią, wyciągniętą dłoń po kwiat kolcem ostrym gotują się ukłuć...

Białe korony tulipanów stuliły się, jak strwożone siostrzyce, zbłąkane w lesie. Przywarły listki ku sobie... trwogą przerażone.

Różnokolorowe bratki schylają podkowiasty kwiat, szepczą w zgodzie... o przyjaźni...

Rozstępują się przed nim kwiaty, przechodzi, spogląda na nie...

Z pączka, z czerwonych płatków róży, który nachyla się, jak gdyby pod czarodziejską różdżką, twarz jakaś anioła wyłania się... we mgle... srebrzysty włos opada na białą, alabastrową pierś, którą wstydlawie okrywa. Niebieskie, stęsknione oczy ze słodyczą spozierają, koralowe usta rozkosznie rozchylone... pół uśmiechnięte... spragnione. Śmieją się usta, słodyczą zapraszają, wabią...

Próbuje zbliżyć się... uchwycić dziwny kwiat, zerwać z łądygą... W mgłę postać się rozwiła... krzak róży rozkwitłej, w ciernisty, zeschnięty pręt się przemienił.

Chciał przylgnąć do rozkosznych ust, pochwycić białą postać w ramiona, na łabędzych piersiach ukoić tęsknoty, miłości czar wchłonać w spragnione ciało... kwiecisty krzak w zeschnięty, kolczasty pręt się zmienił... postać w mgłę się rozwiła...

U stóp jego ziemi nieco świeżo skopanej, wodnistej gliny, z szarym piachem, z ilem zmieszanej ślad...

Tuż pośród piekących traw, pokrzyw, ostów, łądygę wyprężył narcyz... rośnie łądyga... płatki białej korony w olbrzymy zmieniają się...

Postąpił naprzód...

Miał prązków kielicha rysy korony wyłoniły się, przyjaciela spojrzały oczy, smutne... rozumne... ukojenie w smutku niosące...

Serdecznie wyciągnął dłonie, twarz przyjaciela bolesnym uśmiechem zadrgała... opadła korona kwiatu... zieloną łądygę wiatr między piekące ziela ukrył...

Łodyga lilii, z śnieżystymi kwiatami z oddali skłoniła się, na koronie mgła przejrzysta spoczęła, kształtów dziwnych nabierając...

Usiadł pod dłoniastymi liśćmi winogrodu, pełną bluszcz pod stopami mając, roziskrzonym okiem w kwiat przeobrażający wpatrując się...

Białą szatą postać wyłoniła się z dźwięczną harfą w dłoniach... Łodyga lilii, jak sosny niebotycznej wyrosła pień, na listku spoczęła postać, ujmując harfę w dłonie.

Zatrzymał oddech w piersiach, kurczowo przycisnął ręce do ciała, bojąc się, by nie spłoszyć zjawiska.

Zadrgała harfa...

Przymknął powieki...

Nieznaną melodia spłynęła, ciało dreszcz opadował — wchłaniał melodyę...

Rozkosz przebiegła przez niego...

Mimowoli wyciągnęły się ręce, pokurczone palce